

JACEK KOCHANOWICZ (1946–2014)  
CZYLI JAK POLUBIŁEM HISTORIĘ GOSPODARCZĄ

Kiedy zobaczyłem wśród zajęć do wyboru na drugim semestrze pierwszego roku historii na Uniwersytecie Warszawskim przedmiot „Metody wyjaśniania w historii gospodarczej i społecznej”, pomyślałem: „Dziwne”. Wyjaśniania czego? Był początek 1983 r. Miałem lat 19 i pół, wiedziałem, że na pewno chcę być historykiem, historia gospodarcza wydawała mi się czymś potwornie nudnym; co to jest historia społeczna, nie miałem pojęcia. Nie wiem, dlaczego wybrałem ten kurs, podejrzewam, że inne były już zajęte. Prowadzący onieśmielał – swoją elegancją i uprzejmością. Dał nam do czytania jakieś socjologiczne teksty Juliana Hochfelda. Nie przeczytaliśmy, a w każdym razie nie przeczytaliśmy odpowiednio dokładnie, tłumaczyliśmy, że trudne i niejednoznaczne. Prowadzący był lekko zirytowany. Jeśli to jest dla państwa za trudne, powiedział, to następnym razem mogę poprosić o lekturę krótkiego kursu historii WKP(b), tam wszystkie problemy i wątpliwości są wytłumaczone bardzo jednoznacznie i klarownie. Była to najostrzejsza krytyka, z jaką kiedykolwiek z jego ust się spotkałem. Hochfeld za trudny? Więc dobrze, na jedno z następnych zajęć mam przygotować referat o *Lineages of the Absolutist State* Perry’ego Andersona, głośnej wówczas książce angielskiego marksisty, analizującej mechanizmy tworzenia się absolutyzmu we wczesnonowożytnej Europie i poza nią. W dyskusji Jacek Kochanowicz zwrócił uwagę na dwa tematy, które wydały mi się fascynujące – kwestię analogii japońskiego i europejskiego feudalizmu oraz problem przyczyn braku absolutyzmu w Polsce. Historia gospodarcza i społeczna zaczynała mi się coraz bardziej podobać.

Spodobała mi się jeszcze bardziej, kiedy wprowadził studentów w świat prac swojego mistrza, jednego z najwybitniejszych historyków gospodarczych XX w., Witolda Kuli – i było to jedno z największych olśnień czytelniczych w moim życiu. *Teoria ekonomiczna ustroju feudalnego* Kuli na długo stała się jedną z moich ukochanych książek (obok *Alicji w Krainie Czarów*, *Klubu Pickwicka* i *Lalki*). Jacek Kochanowicz zajmował się historią i ekonomiką gospodarstw chłopskich i potrafił przedstawić koncepcje Kuli dotyczące specyfiki gospodarki przedkapitalistycznej tak, aby wydobyć ich całą oryginalność i finezję.

Na jednych z zajęć opowiadał nam swoje wrażenia z pobytu w Oksfordzie; przedstawił obraz (teraz widzę, że nieco upiększony) uniwersytetu idealnego, luźnej federacji kilkudziesięciu kolegów, których *fellows* sami decydują o tym, czym się chcą zajmować, i które utrzymują się z dochodów z własnych majątków, będąc całkowicie niezależne od państwowego finansowania. Akurat wtedy

w jednym ze swych przemówień Wojciech Jaruzelski, sprzeciwiając się wprowadzeniu w Polsce realnej samorządności, powiedział, że nie ma jej nigdzie na świecie, że nie ma samorządnej Francji ani samorządnej Anglii. Kochanowicz zakończył swoje opowiadanie o Oksfordzie słowami: nie miał racji generał Jaruzelski, mówiąc, że nie ma samorządnej Anglii – jest samorządna Anglia, a Oksford jest jednym z jej przejawów.

Zajęcia trwały dwa semestry, potem był jeden semestr bez Kochanowicza, a potem na trzecim roku – dwa semestry ekonomii politycznej. Ekonomia polityczna była przedmiotem obowiązkowym na wszystkich kierunkach, będącym – w intencji władz – narzędziem marksistowskiej indoktrynacji. Otóż z tego nie-lubianego i lekceważonego przez studentów kursu Jacek Kochanowicz potrafił zrobić coś wspaniałego – przedstawił nam kurs historii myśli ekonomicznej od Adama Smitha po autorów z lat sześćdziesiątych XX w., w formie konwersatorium, z lekturą i omawianiem tekstów – to, czego się na tych zajęciach dowiedziałem dało solidną podstawę do dalszych lektur i w pewien sposób ustrukturyzowało wszystko, co do dzisiaj wiem o dziejach myśli ekonomicznej.

Kiedyś mówił o teorii renty z kapitału u Marksa (nie pamiętam dokładnie tej teorii, ale oczywiście to była jedna z licznych form eksploatacji klasy robotniczej przez burżuazję), nagle przerwał i powiedział z takim miłym, jakby trochę rozmarzonym, trochę autoironicznym uśmiechem: Zawsze było moim największym ideałem życiowym być Anglikiem w końcu XIX w., żyjącym z renty i mieszkającym we Włoszech. Po czym westchnął i wrócił do Marksa...

Dwa semestry ekonomii szybko minęły i wkrótce doszedłem do wniosku, że bez jego zajęć na studiach jest nudno. Zdobyłem się na akt odwagi – zadzwoniłem i w imieniu swoim i kilku kolegów zapytałem, czy nie zgodziłby się prowadzić dla nas dodatkowego seminarium. Mieliśmy więc jeszcze dwa, a może trzy semestry comiesięcznych spotkań na ulicy Długiej w gmachu Wydziału Ekonomii Politycznej (dzisiaj: Nauk Ekonomicznych). *Spółeczeństwo otwarte* Poppera (przeczytane po angielsku, bo było to jeszcze przed pierwszą, podziemną edycją polską), *The Making of the English Working Class* E.P. Thomsona, Immanuel Wallerstein z jego koncepcją centrów i peryferii, spór Langego z Misesem i Hayekiem o racjonalność gospodarki socjalistycznej, gospodarcze przesłanki tworzenia się państw średniowiecznych w Europie Środkowo-Wschodniej – to niektóre z dyskutowanych przez nas wtedy tematów.

W czasie moich studiów na Wydziale Historycznym większość zajęć była bardzo dobra, a nudne należały do rzadkości. Nawet na tle tego wysokiego poziomu wyróżniały się dwa: fascynujące wykłady Jerzego Jedlickiego (nie-dawno zwolnionego z internowania) o emocjach zbiorowych w historii oraz właśnie zajęcia Jacka Kochanowicza. Był wspaniałym dydaktykiem, a to oznacza przede wszystkim dwie sprawy: bardzo poważne podchodzenie do zajęć i umiejętność tłumaczenia. Traktował serio to, co mówią studenci, wyszukiwał jakiś interesujący problem nawet w niezbyt mądrych wypowiedziach, formułował ten problem klarownie, a potem przedstawiał swój pogląd – z takim charakterystycznym pytającym zawieszeniem głosu, które nadawało jego słowom charakter zaproszenia do dyskusji raczej niż twierdzenia. Student

mógł się tylko dziwić, że zawarł w swej wypowiedzi poważniejsze problemy, niż sam przypuszczał.

Wyjaśniał zrozumiale i pomysłowo. Pamiętam, jak tłumaczył znaczenie pojęcia kosztów alternatywnych (*opportunity costs*) w ekonomii: czy stać mnie na filiżankę kawy codziennie? (uwaga dla młodszych pokoleń: kawa była niesłychanym luksusem, jej cena była wielokrotnie wyższa niż herbaty, nie sądzę, abym znał wtedy kogokolwiek, kogo było stać na wypicie w kawiarni filiżanki kawy codziennie). Bezrefleksyjnie odpowiemy, że nie, ale to nieprawda – oczywiście, że mnie stać, miesięczna pensja jest wyższa niż równowartość trzydziestu filiżanek kawy, pytanie tylko, z czego musiałbym zrezygnować. Jeśli mówimy, że nie stać mnie na filiżankę kawy dziennie, to mamy na myśli koszt innych rzeczy, bardziej niezbędnych, których możliwość uzyskania utracilibyśmy.

Przez jakiś czas przychodził na uniwersytet, podpierając się laską – wyglądał jeszcze bardziej elegancko niż zwykle. Mówił, że skreślił nogę. Podejrzewaliśmy z kolegami, że to tylko pretekst – dziś sądzę, że takie podejrzenie było z naszej strony bezpodstawną złośliwością.

W latach dziewięćdziesiątych widywałem go rzadziej, a potem znowu częściej na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie (gdzie obaj wykładaliśmy) – choć nie tak często jak chciałbym, bo na ogół nasze zajęcia były w różnych semestrach. Pamięć przechowała jakby migawki kilku dłuższych rozmów i jeden wieczorny spacer po Budapeszcie, wzdłuż wspaniale oświetlonego Dunaju, z błyszczącym w świetle zamkiem w Budzie po drugiej stronie rzeki. Ja z moją żoną byliśmy zachwyceni, Jacek był mniej entuzjastyczny, uśmiechnął się: no proszę, parę żarówek i taki efekt. Ten sceptyczny dystans nie był złośliwy, bo łączył się u niego z życzliwością. Miły uśmiech w pewnym sensie rozbrajał nawet bardzo poważne i w istocie niewesołe opinie. Nieprzyjemne rzeczy mogą iść razem, przyjemne nie: nie można mieć jednocześnie wzrostu gospodarczego i braku inflacji, natomiast stagnacja i inflacja mogą się łączyć bardzo dobrze – tłumaczył. Podobnie łagodnie wyrażał sceptycyzm wobec szans polskiego kapitalizmu – nie bardzo wierzył, że może się rozwinąć z budek z hot dogami i z łózek polowych pełniących funkcję straganów, dominujących w Warszawie końca lat osiemdziesiątych.

Był historykiem o modernistycznej, a nie postmodernistycznej formacji umysłowej. W swych pracach z ostatnich dwudziestu lat podkreślał – bardziej niż podczas zajęć, w których uczestniczyłem w latach osiemdziesiątych – znaczenie czynników pozaekonomicznych, emocji, tradycji, typu kultury, dla życia gospodarczego. Zarazem przyjmował, że owe kwestie pozaracjonalne mogą być badane w sposób jak najbardziej racjonalny: zacofanie gospodarcze nie jest żadną kwestią dyskursu zacofania, narzuconego Europie Wschodniej przez hegemoniczny Zachód, jest twardą, mierzalną rzeczywistością, od dyskursu niezależną.

Zawsze wydawał mi się, zarówno w całym codziennym zachowaniu, jak i w tym racjonalizmie myślowym, człowiekiem oświecenia – w dobrym sensie tego wieloznacznego pojęcia. Nie oświecenia francuskiego, złośliwego i agresywnego, ale brytyjskiego, z jego wiarą w zdrowy rozsądek i dążeniem do unikania

skrajności. Kiedyś z wielką sympatią mówił o książce Adama Smitha *Teoria uczuć moralnych*, w której Smith pisze o życzliwości jako podstawie moralności. Sądzę, że takie oświecenie, którego patronem jest Adam Smith, ale nie jako teoretyk wolnego rynku, tylko teoretyk wzajemnej życzliwości, najlepiej odpowiadało charakterowi i umysłowości Jacka Kochanowicza.

Ta „angielskość” przejawiała się również w jego rzeczowości, punktualności i słowności. Był człowiekiem, który odpowiadał na maile i robił to, do czego się zobowiązał – a ponieważ ja sam jestem tego przeciwieństwem, postawa taka tym bardziej wzbudzała mój podziw.

Nie mogę powiedzieć, żebym znał go bliżej. Podczas pogrzebu jeden z mówców wspominał, że Jacek Kochanowicz na pierwszy rzut oka mógł wytwarzać uczucie dystansu swoją elegancją i dobrym wychowaniem. Ja z pewnością należałem do tych, których ten dystans zawsze onieśmielał. Wielokrotnie, napotykając w pracy naukowej różne problemy związane z historią gospodarczą, myślałem „trzeba będzie spytać Kochanowicza” – i zawsze pojawiała się myśl, że przecież ma on masę ważniejszych zajęć. Zwłaszcza kiedy wiedziałem już o jego chorobie, myślałem, że ma ograniczony czas przed sobą i byłoby z mojej strony egoizmem narzucać się z głupimi pytaniami. Raz tylko odważyłem się poprosić o radę – pod koniec 2012 r., kiedy przygotowywałem do Budapesztu kurs zajęć na temat „Centra i peryferie w myśli europejskiej od oświecenia do współczesności”. Kilka godzin rozmowy bardzo dodało mi otuchy i było ostatnim naszym dłuższym spotkaniem.

Ostatni raz rozmawiałem z nim na korytarzu Wydziału Historycznego Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie, przy ulicy Nádor 11, na pierwszym piętrze, wiosną 2014 r. Mam wciąż tę scenę przed oczami: załom korytarza obok drzwi do mojego pokoju, przy ścianie stoi uśmiechnięty Jacek, ja w drzwiach, obok z zatroskaną miną przystanął w drodze do swojego gabinetu Viktor Karády z jakimiś książkami czy papierami pod pachą; Viktor pyta Jacka o zdrowie, ten z miłym uśmiechem odpowiada „coraz gorzej” i tłumaczy rzeczowo, jakby opowiadał o kimś zupełnie innym, albo robił popularny wykład z onkologii, jak coraz gorsze są wyniki rozmaitych badań, jak coraz mniej skuteczne są zabiegi...

Ludzie, którzy byli z Jackiem zaprzyjaźnieni, ukażą jego osobę w sposób bogatszy i głębszy, zanalizują też wnikliwie jego osiągnięcia naukowe. Może jednak i te chaotyczne urywki dadzą jakiś przyczynek do portretu wybitnej postaci, którą miałem zaszczyt przez 31 lat znać i podziwiać.

*Maciej Janowski*  
*Instytut Historii im. Tadeusza Manteuffla*  
*Polska Akademia Nauk*